

Będziecie się głowić nad rozwiązaniem
zagadki do samego końca.

IAN RANKIN

Steve Cavanagh

PÓŁ NA PÓŁ

Proces o zabójstwo.

Dwie siostry oskarżają siebie nawzajem.

Której uwierzysz **TY**?



ALBATROS

Tytuł oryginału:
FIFTY-FIFTY

Copyright © Steve Cavanagh 2020
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2023

Polish translation copyright © Andrzej Szulc 2023

Redakcja: Joanna Kumaszevska

Projekt graficzny okładki zagranicznej: Head Design/Orion Books

Opracowanie graficzne okładki polskiej: Kasia Meszka

Zdjęcie na okładce: © Alamy

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

[Facebook.com/WydawnictwoAlbatros](https://www.facebook.com/WydawnictwoAlbatros/) | [Instagram.com/wydawnictwoalbatros](https://www.instagram.com/wydawnictwoalbatros)



STYCZEŃ

Eddie

Jest jedno słowo, które przeraża adwokata procesowego bardziej niż cokolwiek innego. Widziałem je na ekranie mojego telefonu. Wysłano je kilka sekund wcześniej.

WRÓCILI.

Przysięgli opuścili salę rozpraw czterdzieści osiem minut wcześniej.

Jest wiele rzeczy, które można zrobić w czterdzieści osiem minut. Można zjeść lunch. Można zmienić olej w samochodzie. Można nawet obejrzeć odcinek serialu.

Ale jedną z rzeczy, których nie da się zrobić w czterdzieści osiem minut, jest wydanie sprawiedliwego i wyważonego orzeczenia w najbardziej skomplikowanym procesie o zabójstwo w historii Nowego Jorku. Jest to niemożliwe. Być może chodzi o jakieś pytanie ze strony ławy przysięgłych, pomyślałem. To nie jest werdykt.

To nie może być werdykt.

Po drugiej stronie ulicy, na rogu Worth i Lafayette, jest Corte Café. Z zewnątrz lokal wydaje się zachęcający. Podają tam kawę i kanapki, mają plastikowe stoły i krzesła, na których zwykle chłodzi tyłki dwóch albo trzech adwokatów. Zawsze

można poznać, którzy z nich czekają na powrót przysięgłych. Nie są w stanie niczego przełknąć. Nie są w stanie usiedzieć w miejscu. Wprowadzają nerwowy nastrój w całej kafejce zupełnie jak ktoś, kto siedziałby z maczetą na kolanach. Ja też chodzę tam, żeby czekać na werdykt, ale widok innego adwokata cierpiącego piekielne katusze wystarcza, żeby odechciało się kawy. A w Corte Café mają ją dobrą.

Więc zamiast obgryzać paznokcie, poprosiłem o kawę na wynos i wyszedłem na plac. Nie wiem, ile razy i jak długo przemierzałem Foley Square. Mój rekord to trzy dni. Tyle czasu potrzebowali przysięgli, żeby uniewinnić jednego z moich klientów, a ja o mało nie wyrąbałem obcasami rowu w chodniku. Tym razem esemes przyszedł, kiedy tylko opuściłem Corte Café z kawą w ręce.

Wyrzuciłem kubek, przeciałem ulicę i ruszyłem w stronę budynku, w którym mieści się Sąd Karny Manhattanu. Dziesięć metrów nad wejściem wisi tam na maszcie gwiazdzisty sztandar. To stara flaga. Czas, porywiste wiatry i deszcz nie były dla niej łaskawe. Jej kolory wyblakły i była niemal na pół rozdarta. Kilka gwiazd się odpruło i odleciało z wiatrem. Długie nici z postrzępionych białych i czerwonych pasów sięgały niemal chodnika. Załatwiono już pieniądze na jej wymianę. Czasy były ciężkie i nadchodziły jeszcze cięższe, ale o flagę dbano na ogół w pierwszej kolejności, nawet jeśli nie było kasy na przeciekający dach. Moim zdaniem powinni ją zostawić – spłowieła od słońca barwy i rozdarcia pasowały do naszej epoki. Mogłem się tylko domyślać, że sędziowie są tego samego zdania. Z dziećmi, które więziono w klatkach na granicy, gwiazdzisty sztandar tracił dla niektórych powab. Nigdy jeszcze nie widziałem mojego kraju tak podzielonego.

Na szczycie masztu przycupnął kruk. Wielkie czarne ptaszysko z długim dziobem i ostrymi pazurami. Wracające do

Nowego Jorku kruki zaobserwowano po raz pierwszy w 2016 roku. Wcześniej występowały tylko na północy stanu; nikt nie wiedział, dlaczego wróciły. Zakładały gniazda pod mostami i estakadami, czasami nawet na słupach telefonicznych albo trakcji elektrycznej. Żywiły się śmieciami i padliną, których w zaułkach miasta było pełno.

Kiedy przechodziłem pod flagą, kruk nagle zakrakał: kra, kra, kra. Nie wiedziałem, czy mnie wita, czy ostrzega.

Tak czy inaczej, wyprowadził mnie z równowagi.

Przed wzięciem tej sprawy nie wierzyłem w czyste zło. Wcześniej spotykałem się i walczyłem z ludźmi, którzy robili złe rzeczy, ale składałem to na karb ludzkich słabości – żądzy, furii albo chciwości. Niektórzy sprawcy byli chorzy. Psychicznie. Można było uznać, że nie są odpowiedzialni za swoje straszliwe zbrodnie.

Przechodząc w sądzie przez kontrolę bezpieczeństwa, nie mogłem opanować tych myśli. Atakowały mój umysł, zatruwały go. Każda była kroplą krwi spadającą do szklanki zimnej wody. Już wkrótce będzie się widziało tylko czerwień.

Przy większości zabójców, z którymi miałem do czynienia, mogłem w jakiś sposób wyjaśnić ich działania. Wskazać w ich przeszłości albo psychice jakiś element, który wpływał na ich rozumowanie i popełnione zbrodnie. Potrafiłem je zawsze zracjonalizować.

Tym razem nie było łatwego wytłumaczenia. Nie miałem żadnego klucza.

Tym razem naprawdę nie potrafiłem tego zracjonalizować. W tej sprawie było coś mrocznego.

Czyste zło.

Czułem je. Zawisło nad tym procesem niczym krążące nad miastem kruki.

Obserwowało.

Czekało.

I nagle pikowało w dół, by rozedrzeć ofiarę dziobem i pazurami. Ciemne, szybkie, śmiercionośne.

Nie sposób było tego inaczej opisać. Nie ma na to lepszego słowa. Ludzie mogą być dobrzy. Jest coś takiego jak dobry człowiek. Ktoś, kto robi dobre rzeczy, bo sprawia mu to przyjemność. Więc dlaczego nie może istnieć coś odwrotnego? Dlaczego ktoś nie może być zły, bo mu to sprawia przyjemność? Nie myślałem o tym wcześniej w ten sposób, ale teraz wydawało mi się to całkiem sensowne. Zło jest realne. Mieszka w mrocznych zakamarkach i może trawić człowieka niczym rak.

Tyle osób zginęło. I być może zginą kolejne, zanim to się skończy. Kiedy byłem dzieckiem i dorastałem w zimnym małym domu na Brooklynie, mama mówiła, że nie ma czegoś takiego jak potwory. Historie, które czytałem jako chłopiec, o potworach i czarownicach, o odbieraniu dzieci rodzicom, porywaniu ich do lasu, to tylko bajki, powiedziała. Potwory nie istnieją.

Mylła się.

Windy w budynku Sądu Karnego były stare i nieznośnie powolne. Pojechałem na swoje piętro. Wsiadłem, ruszyłem korytarzem w stronę sali rozpraw i dołączyłem do pozostałych. Zająłem miejsce przy stoliku obrony, obok klientki. Kiedy wszyscy w końcu usiedli, zamknięto drzwi. Sędzia siedział już w fotelu za stołem.

Gdy do sali wmaszerowali przysięgli, zapadła głucha cisza.

Już wcześniej oddali woźnemu werdykt, który uzgodnili w swoim gronie. Moja klientka próbowała coś powiedzieć, ale w ogóle jej nie słyszałem. Krew huczała mi w uszach.

Potrafię przewidzieć, w którą stronę skłonią się przysięgli. Umieję to odgadnąć. Dotąd nigdy się nie pomyliłem. Jeszcze

przed przyjęciem sprawy wiem, czy klient jest winny.

Zanim po drobnych modyfikacjach wykorzystałem w praktyce adwokackiej zdolności przydatne w zupełnie innym fachu, przez wiele lat byłem profesjonalnym kanciarzem. Wykiwanie na dwieście patoli dilerka narkotykowego nie różni się tak bardzo od wykiwania ławy przysięgłych, żeby wydała właściwy werdykt. Niewinni ludzie często trafiają za kratki – ale nie na mojej wachcie. Już nie. Nauczyłem się – w barach, knajpach i na ulicy – czytać ludzi. Jestem w tym dobry. Jeśli mam się zaangażować w obronę klienta na sali rozpraw, muszę wiedzieć, czy jest winny, czy niewinny, już po pierwszym spotkaniu. Jeśli jest winny, a w sądzie zamierza dowodzić czegoś przeciwnego, życzę mu powodzenia i się rozstajemy. Nie zrobiłem tego przed kilkoma laty i kosztowało mnie to więcej, niż mogłem znieść. Zignorowałem to, co podpowiadał mi instynkt, i pomogłem klientowi wyjść na wolność. Był winien, a ja go wypuściłem. Skrzywdził kogoś. Więc ja skrzywdziłem jego. W pewien sposób wciąż płacę za tamten błąd. Nikt nie jest nieomylny.

Nawet ja.

Rozszyfrowywanie klientów i rozszyfrowywanie przysięgłych to moja specjalność. Ale ta sprawa nie była normalna. Nie było w niej nic normalnego.

To był pierwszy werdykt, którego nie umiałem odgadnąć. Byłem w tę sprawę zbyt zaangażowany. W moim przekonaniu szanse każdej ze stron były idealnie równe. Odgadnięcie werdyktu przypominało rzut monetą. Orzeł lub reszka. Wiedziałem, co powinno się stać. Wiedziałem już, kto jest mordercą. Nie wiedziałem tylko, czy dostrzegą to przysięgli. Nie potrafiłem ich rozgryźć.

I byłem zmęczony. Nie spałem od wielu tygodni. Od tamtej mrocznej krwawej nocy.

Woźny wstał i zwrócił się do przewodniczącego ławy przysięgłych.

- Czy odnośnie do wszystkich zarzutów ustaliliście werdykty, co do których zgadzają się wszyscy przysięgli? - zapytał.

- Ustaliliśmy - odparł przewodniczący.

CZEŚĆ PIERWSZA
SIOSTRY

Trzy miesiące wcześniej

Zapis zgłoszenia na numer 911

Numer incydentu: 19 – 269851
5 października 2018, godzina 23.35.24

Dyspozytorka: Tu numer alarmowy dziewięćset jedenaście.
Potrzebuje pani interwencji policji, straży pożarnej czy pogotowia ratunkowego?

Dzwoniąca: Policji i pogotowia. Natychmiast!

Dyspozytorka: Pod jaki adres?

Dzwoniąca: Franklin Street sto pięćdziesiąt dwa. Pospieszcie się, proszę. Ona go zadźgała i idzie na górę. Moja siostra.

Dyspozytorka: Ktoś został zadźgany w tym domu?

Dzwoniąca: Tak, mój ojciec. O Boże, słyszę, jak ona wchodzi po schodach.

Dyspozytorka: Wysyłam patrol nowojorskiej policji i pogotowie. Gdzie dokładnie pani jest w tym domu?
Gdzie jest pani ojciec?

Dzwoniąca: On jest na drugim piętrze. W sypialni małżeńskiej. Wszędzie jest krew. Ja... ja jestem w łazience. To moja siostra. Nadal tu jest. Ma chyba nóż. O Boże... [niezrozumiale]

Dyspozytorka: Proszę zachować spokój. Zamknęła pani drzwi?

Dzwoniąca: Tak.

Dyspozytorka: Jest pani ranna?

Dzwoniąca: Nie, nie jestem. Ale ona chce mnie zabić.
Proszę, niech się pospieszą...

Dyspozytorka: Już jadą. Proszę się położyć na podłodze.
Jeśli pani może, proszę zaprzeć się nogami o drzwi. Nic złego się pani nie stanie. Proszę wziąć głęboki oddech, policja jest w drodze. Proszę zachować spokój i nie odzywać się. Jak pani się nazywa?

Dzwoniąca: Alexandra Avellino.

Dyspozytorka: Jak się nazywa pani ojciec?

Dzwoniąca: Frank Avellino. To moja siostra, w końcu totalnie jej odbito. Zaszlachtowała go... [niezrozumiale]

Dyspozytorka: Czy w domu jest więcej łazienek? W której pani jest?

Dzwoniąca: W tej przy sypialni małżeńskiej. Chyba słyszę siostrę. Jest w sypialni. O Jezu...

Dyspozytorka: Proszę być cicho. Nic złego się pani nie stanie. Policja jest tylko kilka przecznic od domu.
Proszę się nie rozłączać.

Dzwoniąca: [niezrozumiale]

Dyspozytorka: Alexandra... Alexandra? Jest pani tam?

Rozmowa zakończyła się o godz. 23.37.58

Zapis zgłoszenia na numer 911

Numer zgłoszenia: 19 – 269851

5 października 2018, 23.36.14

Dyspozytorka: Tu numer alarmowy dziewięćset jedenaste.

Potrzebuje pani interwencji policji, straży pożarnej czy pogotowia ratunkowego?

Dzwoniąca: Policji i pogotowia. Mój tato umiera! Jestem na Franklin Street sto pięćdziesiąt dwa. Tato! Tato, błagam, nie odchodź! Został napadnięty. Potrzebuje pomocy medycznej.

Dyspozytorka: Jak się pani nazywa?

Dzwoniąca: Sofia. Sofia Avellino. Nie wiem, kurwa, co robić. Tyle tu krwi.

Dyspozytorka: Czy to pani ojciec został zaatakowany? Jest w domu?

Dzwoniąca: Ojciec jest w sypialni. Wykrwawia się. To jej sprawka, mojej siostry... [niezrozumiałe]

Dyspozytorka: Czy w domu jest ktoś jeszcze? Czy znajduje się pani w bezpiecznym miejscu?

Dzwoniąca: On chyba nie żyje. Proszę, przyślijcie tu kogoś. Tak się boję. Nie wiem, co robić.

Dyspozytorka: Czy pani ojciec krwawi? Jeśli tak, proszę spróbować przytknąć do rany ścierkę albo ręcznik. I uciskać ją. Policja powinna zjawić się u pani lada chwila. Widzę, że z pani domu dzwonił ktoś jeszcze.

Dzwoniąca: Co?! Zadzwoił do was ktoś jeszcze?

Dyspozytorka: Czy w tym momencie w domu jest jeszcze ktoś poza panią i ojcem?

Dzwoniąca: O mój Boże! To Alexandra! Jest w łazience. Widzę jej cień pod drzwiami. Cholera! Ona tam stoi! Muszę się stąd wydostać. Ona mnie zabije. Proszę, pomóżcie mi, proszę... [krzyk]

Rozmowa zakończyła się o godz. 23.38.09

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Eddie

Nienawidzę prawników.

To znaczy większości. Właściwie prawie wszystkich, z kilkoma znaczącymi wyjątkami. Na przykład mojego mentora, sędziego Harry'ego Forda, oraz kilku innych weteranów, którzy snują się po korytarzach Sądu Karnego Manhattanu niczym nieboszczycy na własnych pogrzebach. Kiedy przed ukończeniem dwudziestki zajmowałem się wyrafinowaną hochsztaplerką, znałem o wiele więcej adwokatów niż teraz. Większość prawników łatwo oszukać, bo są nieuczciwi.

Nigdy nie sądziłem, że stanę się jednym z nich. Na wizytówce w mojej kieszeni widnieje napis: *Eddie Flynn, adwokat*.

Gdyby mój ojciec, który był utalentowanym hochsztaplerem, dożył tego dnia, byłoby mu wstyd. Mogłem zostać bokserem, oszustem, kieszonkowcem albo nawet bukmacherem. Gdyby żył, spojrzalby na syna adwokata, pokręcił głową i zastanawiał się, jaki popełnił błąd jako rodzic.

Główny problem polega na tym, że adwokaci myślą więcej o sobie niż o klientach. Na początku są pełni dobrych intencji; oglądali film *Zabić drozda*, być może nawet przeczytali książkę Harper Lee i chcą zostać kimś w rodzaju Atticusa Fincha.

Chcą reprezentować maluczkich. Historia Dawida i Goliata. A potem zdają sobie sprawę, że trzymając się szlachealnych zasad, nie zarobią dużych pieniędzy, że ich klienci są wszyscy winni i że nawet jeśli napiszą mowę na miarę Atticusa Fincha, sędzia będzie ją miał w głębokim poważaniu.

Ci, którzy są dość cwani, by wiedzieć, że to od samego początku była mrzonka, dochodzą do wniosku, że muszą zatrudnić się w dużej kancelarii, harować od rana do wieczora i zdążyć zostać współnikiem przed pierwszym zawałem serca. Innymi słowy, uświadamiają sobie, że prawo to biznes. Dla niektórych kwitnący.

Stojąc przed Pierwszym Komisariatem Nowojorskiej Policji przy Ericson Place 16, widziałem na własne oczy, ile forsy koszą adwokaci karniści z górnej półki. Miejsca postojowe na zewnątrz, zarezerwowane na ogół dla radiowozów, zajęła flota drogich limuzyn, w większości niemieckiej produkcji. Naliczyłem pięć mercedesów, dziewięć bmw i jednego lexusa.

Musiało się tam dziać coś ważnego.

Do komisariatu wchodziło się przez nabijane ćwiekami, pomalowane na biało i niebiesko ozdobne drzwi, za którymi było stanowisko funkcjonariusza do spraw transportu, a dalej biurko sierżanta dyżurnego. I właśnie przy nim trwała w najlepsze awantura. Detektyw w żółtej koszuli wymachiwał palcem przed twarzą sierżanta Bukowskiego, a w poczekalni po drugiej stronie biurka kłóciło się ze sobą kilkunastu adwokatów. Poczekalnia miała mniej więcej dwadzieścia metrów kwadratowych i była wyłożona żółtymi kafelkami, które kiedyś musiały być białe, ale w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych gliniarze kopcili jak smoki.

Bukowski zadzwonił do mnie dwadzieścia minut wcześniej i kazał szybko przyjeżdżać. Jest sprawa. Dużego kalibru. To oznaczało, że jestem mu winien bilety na mecz Knicksów.

Mamy układ. Jeśli na jego biurko trafi coś smakowitego, dzwoni do mnie. Problem polega na tym, że Bukowski nie jest jedynym w tym komisariacie gliniarzem, który bierze w łapę, a sądząc po tłumie papug, wieść musiała się roznieść.

– Bukowski! – zawołałem.

Mój sierżant był kosmatym zwałem mięśni i tłuszczu wciśniętym w granatowy mundur nowojorskiej policji. Jarzeniówki rozświetliły krople potu na jego łysej głowie, kiedy odwrócił się, puścił do mnie oko, po czym oznajmił bez ogródek detektywowi, żeby zabrał mu palec sprzed twarzy, bo inaczej urwie mu go i wsadzi w pewne miejsce jego matce. Nie interesowały mnie szczegóły.

– Dosyć tego, Bukowski – rzucił detektyw w żółtej koszuli.
– Każdy z nich dostanie jedną minutę z podejrzaną. Po prostu. Następnie podejrzana wybierze sobie obrońcę i zaczniemy od razu przesłuchanie. Czy to jest jasne?

– Jak najbardziej. Wydaje się fair. Dam radę to zorganizować. Napij się kawy i wróć za pół godziny. Albo zadzwoń do mamy i powiedz, że wpadnę do niej po końcu zmiany.

Detektyw, nadal wymachując palcem, cofnął się o krok, po czym obrócił się na pięcie i wyszedł przez stalowe drzwi poczekalni.

Bukowski odwrócił się do stojących przed nim adwokatów.

– Powiem wam, jak to będzie wyglądało – oświadczył, jakby prowadził sesję bingo i objaśniał jej zasady. – Każdy z was pobierze numerek, a kiedy go wywołam, będzie miał jedną minutę sam na sam z podejrzaną. Jeśli ta nie podpisze mu upoważnienia, już go tu nie ma. Jasne? To wszystko, co mogę dla was zrobić.

Część adwokatów wzniosła ręce do nieba i zaczęła stukać w telefony, a pozostali, nadal się skarżąc, podbiegli do maszyny,

żeby pobrać numerki. Numerki były dla osób, które chciały złożyć skargę, a nie dla adwokatów czekających na spotkanie z klientem.

– Co tu jest grane, Bukowski? – spytałem. – Po co mam ci kupować bilety na mecz Knicksów, skoro dzwonisz do każdej cholernej papugi na Manhattanie?

– Przykro mi, Eddie. Słuchaj, to niesamowita sprawa. Będziesz chciał ją prowadzić. To, co się teraz dzieje, to nic w porównaniu z tym, co będzie się działo rano, kiedy armia paparazzich będzie próbowała pstryknąć fotkę, gdy przywieziemy te dziewczyny, żeby postawić im zarzuty.

– Jakie dziewczyny? Co to za sprawa?

– Siły szybkiego reagowania przywołyły je po północy. To siostry. Obie po dwudziestce. Ich ojciec leżał na górze w sypialni, posiekany nożem. Obie zadzwoniły pod dziewięćset jedenaście i doniosły na siebie nawzajem. Każda z nich twierdzi, że ojca zabiła ta druga. Ta sprawa... to będzie bomba.

Rozejrzałem się po poczekalni. Zebrała się w niej śmietanka nowojorskiej palestry, sami wielcy gracze w garniturach za tysiąc dolców, z towarzyszącymi im asystentami.

Spojrzałem na siebie. Byłem w czarno-białych butach Air Jordan Low, džinsach, czarnej kurtce i T-shircie z logo AC/DC. Większość klientów, których obsługiwałem, nie interesowała się po północy szczegółami mojej garderoby. Zauważyłem, że kilku gości w garniturach trąca się wzajemnie i wskazuje w moją stronę. Najwyraźniej nie byłem dla nich konkurencją. Nie rozumiałem jednak, dlaczego ta sprawa jest aż tak ważna.

– Każda z sióstr twierdzi, że zrobiła to ta druga. I co z tego? Mają kupę szmalu czy coś w tym rodzaju? Co zagnało tej nocy wszystkie lwy do wodopoju?

– Kurczę, nie oglądałeś wieczornych wiadomości? – zapytał Bukowski.

– Nie, uderzyłem w kimono.

– Te siostry to Sofia i Alexandra Avellino. Córki Franka Avellino.

– Frank Avellino nie żyje?

Bukowski pokiwał głową.

– Rozmawiałem z jednym gościem z sił szybkiego reagowania, który był na miejscu zdarzenia. Avellino był wypatroszony jak ryba. Nożem. Facet powiedział, że trudno było na to patrzeć. A na pewno naoglądał się już wielu różnych rzeczy.

Siły szybkiego reagowania nowojorskiej policji działają w podobny sposób jak antyterrorysty. Nie ma takiej rzeczy, której by nie widzieli – od ataków terrorystycznych po napady na bank, porwania i snajperów strzelających do wszystkiego, co się rusza. Jeśli ktoś od nich stwierdził, że trudno patrzeć na zwłoki Franka Avellino, to musiał to być widok z najgorszego koszmaru. Jednak to nie nadzwyczajny poziom okrucieństwa przyciągnął tutaj najlepszych manhattańskich mecenasów – chodziło o to, kim byli ofiara i domniemane sprawczyne.

Do listopada ubiegłego roku Frank Avellino pełnił funkcję burmistrza Nowego Jorku.

– Jakie są szanse, że dostanę tę sprawę, skoro jestem ostatni w kolejce? – zapytałem.

– Jesteś teraz pierwszym oczekującym – odparł Bukowski.

– Carol Cipriani nie przekonała klientki, żeby podpisała papiery. Facet, który z nią teraz siedzi, nie ma na to najmniejszej szansy. Wprowadzam cię za pół minuty.

– Chwileczkę. Byłem trzeci w kolejce?

– Carol Cipriani dała mi tysiąka, żeby być pierwsza, ale klientka jej odmówiła. Przykro mi, Eddie. Muszę coś jeść.

– Hej, za kogo ty nas masz? Za siekaną wątróbkę? Co się tu odstawia? – obruszył się jeden z prawników w garniturach.

– Spokojnie, bez obaw – rzucił Bukowski. – Eddie nie wpycha się do kolejki. Ty też będziesz miał swoją szansę, koleś. Wszystko w porządku, Eddie – zapewnił mnie. – Większość tych dupków chce reprezentować Alexandrę. Ty zobaczysz się z Sofią.

– Zaraz, zaraz... To nie spotkamy się z obiema siostrami? – zapytał inny adwokat i wszyscy zaczęli głośno protestować.

Bukowski – podobnie jak sześciu innych sierżantów dyżurnych – był moim człowiekiem i zawsze dawał mi cynk, kiedy zgrnęli kogoś ważnego. A ja zawsze należycie mu się odwdzięczałem. Nowojorscy gliniarze wyczuli, że to duża sprawa, i każdy, który miał zasilającego jego kieszeń adwokata, łąpał za telefon. Nie pierwszy raz to widziałem. Detektywi prowadzący sprawę psioczyli na sierżantów, ale jeżeli nie opóźniało to w znacznym stopniu śledztwa, niewiele mogli zrobić. Nie składali skarg do przełożonych, bo nie wypada donosić na kolegów.

W nowojorskiej policji kapusie nie mają łatwego życia. Niektórzy z obecnych tu teraz adwokatów zdobędą klientów, a ci, którym to się nie uda, nie będą składali skarg. Jeśli to zrobią, nikt już do nich nigdy nie zadzwoni. Klienci też się nie skarżą, bo dostają najlepszych obrońców. Zabójstwo kogoś znanego to dla mundurowych wygrana na loterii. Jak w większości spraw dziejących się w tym mieście drobna korupcja i drobne pieniądze na boku usprawniają działanie systemu.

Witajcie w Nowym Jorku.

– Wezmę tylko klucze i przedstawię cię Sofii – powiedział Bukowski.

– Dlaczego kierujesz mnie akurat do niej? – chciałem wiedzieć.

Nachylił się, żeby być bliżej mnie.

– Znam cię – odparł. – Nie weźmiesz sprawy, jeśli klient popełnił przestępstwo i próbuje się jakoś wywinąć. Co do Alexandry, mam pewne wątpliwości. A ta mała... to znaczy Sofia... sam zobaczysz. Przez mój areszt codziennie przechodzi od dwadzieściora do trzydzieściora ludzi. Tak samo jak ty potrafię rozpoznać prawdziwych sprawców. Ona tego nie zrobiła. Ale muszę cię ostrzec. Żadnych gwałtownych ruchów z tą małą. Nic jej nie dawaj, nie zostawiaj przy niej żadnych długopisów ani kartek.

– Dlaczego?

– No cóż... lekarz więzienny uważa, że jest szurnięta... Ale ciebie nie zaatakuję. Zostaniesz jej obrońcą.

ROZDZIAŁ DRUGI

Kate

Kate Brooks spała głębokim snem, w założonej na strój gimnastyczny piżamie i dwóch parach grubych białych skarpetek, owinięta wełnianymi kocami. Stare kaloryfery w wynajmowanej przez nią kawalerce nie dawały ciepła bez względu na to, jak długo przy nich majstrowała. Mieszkanie reklamowano jako *perłkę z wszechstronnym centralnym ogrzewaniem*. Wszechstronność oznaczała chyba kaloryfery po obu stronach pokoju. W rezultacie Kate, kładąc się do łóżka, musiała się szczelnie opatulać. Kiedy zaczęła się ostra zima, nie wiedziała, jak sobie poradzić.

W jej telefonie odezwał się budzik – elektroniczny dzwonek z każdą sekundą był coraz głośniejszy. Wysunęła rękę spod koca i stuknęła dwa razy w ekran smartfona leżącego na szafce nocnej. Kiedy dzwonek ucichł, cofnęła szybko dłoń pod koc i nie do końca obudzona, obróciła się na drugi bok.

Po paru minutach telefon znów zaczął dzwonić.

Tym razem zmusiła się, żeby otworzyć oczy. Dźwięk, który słyszała, nie był podobny do budzika. Zdała sobie sprawę, że dzwoni do niej szef – Theodore Levy. I że nie odebrała jego pierwszego telefonu.

– Tak, proszę pana? – odezwała się ochryplym głosem.

– Ubieraj się – powiedział Levy. – Chcę, żebyś pojechała do biura, wzięła pewien dokument i spotkała się ze mną w Pierwszym Komisariacie w Tribeca.

– Oczywiście. Co mam zabrać z biura?

– Jest tam Scott i sprawdza pewne rzeczy, ale potrzebuję go tutaj. Masz mi przywieźć egzemplarz umowy o świadczeniu usług prawnych dla Alexandry Avellino. Chcę go tu mieć za czterdzieści pięć minut. Nie spóźnij się – dodał Levy i rozłączył się.

Kate wygrzebała się z pościeli i wstała z łóżka. Tak wyglądało życie świeżo upieczonej prawniczki. Pracowała w firmie od sześciu miesięcy i na jej egzaminie adwokackim nie wysechł jeszcze atrament. Z tego, co rozumiała, Scott, inny stażysta, był już w biurze i mógł przecież zabrać egzemplarz umowy. Co ciekawe, zupełnie jej to nie zdziwiło. Levy wydawał rozkazy, a ludzie je wykonywali. Nie miało znaczenia, że coś można było zrobić łatwiej albo szybciej; szef był szczęśliwy, gdy podwładni zasuwali jak szaleni.

Zerknęła na zegarek. Będzie musiała wziąć taksówkę. Od niej do firmy jechało się dwadzieścia minut. Z firmy do Pierwszego Komisariatu prawdopodobnie kolejne dwadzieścia.

Nie miała czasu na prysznic.

Ściągnęła piżamę, skarpety i strój gimnastyczny i włożyła bluzkę oraz biznesowy kostium. Spódnica była pognieciona, ale to nie miało znaczenia. Wkładając rajstopy, zobaczyła na prawej łydce oczko. Jej ostatnia para. Zaklęła i zaczęła szukać butów. Wychodząc z aneksu sypialnego do udającej salon niewielkiej kłitki, w której udało jej się zmieścić sofę i regał z książkami, walnęła głową o łuk i skaleczyła czoło. Czując silny ból, stanęła w miejscu i zaczerpnęła powietrza.

– Zasraniec – mruknęła.

Przy drzwiach wyjściowych leżała para adidasów. Włożyła je, złapała płaszcz i torebkę i wybiegła z mieszkania.

Dwadzieścia minut później poprosiła kierowcę, żeby zatrzymał się na Wall Street i na nią zaczekał, po czym pobiegła do budynku, w którym mieściła się jej firma. Otworzyła kartą magnetyczną frontowe drzwi i ruszyła do recepcji, gdzie za szybą siedział przy biurku ochroniarz. Kiedy drzwi windy zaczęły się otwierać, zrobiła krok do przodu, ale z kabiny wybiegł Scott z teczką pod pachą i zderzył się z nią ramieniem.

– Przepraszam, Kate, muszę lecieć. Sekretarka Levy’ego nadal drukuje tekst umowy. Nie miałem czasu go zabrać. Levy chce, żebym natychmiast stawił się w komisariacie.

– Zaczekaj, będę na dole za dwie minuty – powiedziała. – Czeka na mnie taksówka.

Scott skinął głową, odwrócił się i pobiegł w stronę frontowych drzwi. Kate wcisnęła przycisk dwudziestego piątego piętra i liczyła wszystkie, kiedy winda jechała w górę. Maureen, sekretarka Levy’ego, wyjmowała kartki z drukarki. Włożyła je, wciąż ciepłe, do teczki i podała ją Kate.

– To jest egzemplarz umowy?

Maureen pokiwała głową.

Dlaczego Scott nie mógł poczekać i go ze sobą zabrać?

Kate dawno temu przestała zadawać sobie takie pytania. W świecie dużych kancelarii prawniczych nikomu nie przeszkadzało zaangażowanie dwadzieściorga prawników oraz pięćdziesięciorga asystentów, jeśli tylko dawało to chwilową przewagę nad przeciwnikiem. Wysłano ją po egzemplarz umowy, bo można ją było wysłać. Wbiegła z powrotem do windy, wcisnęła parter i stuknęła kilka razy palcem w przycisk zamykający drzwi.

– Szybciej, szybciej, szybciej – szeptała, kiedy niespiesznie się zamykały.

Na parterze wyskoczyła z windy i pobiegła do wyjścia. Ochroniarz wstał, użył swojej karty magnetycznej, żeby odblokować drzwi, i otworzył je przed nią.

– Dziękuję – szepnęła Kate, po czym wybiegła na zewnątrz i stanęła jak wryta. Jej taksówka zniknęła. Musiał ją zabrać Scott.

Zasraniec.

Gorączkowo spojrzała w prawo i w lewo. Ani jednej taksówki. Otworzyła aplikację Ubera w telefonie. Jej ojca wkurzało, że z niego korzysta, i wielokrotnie ją przed nim ostrzegał. Dostępny samochód był dwie przecznice dalej.

Pojawił się po kilkadziesiąt sekundach. Kate usiadła z tyłu. W starym niebieskim fordzie pachniało psem. Było zbyt ciemno, by dobrze przyjrzeć się kierowcy, ale zorientowała się, że jest chudym blondynem z tatuażami na obu rękach.

Scott był totalnym zasrańcem.

Dostał pracę w firmie cztery miesiące po Kate. Kancelaria Levy, Bernard i Groff oferowała pełen zakres usług prawnych. Co oznaczało, że potrafili ukryć twoje miliony, żebyś nie musiał płacić podatków, pozbawić twoją żonę alimentów, które jej się należały, i pozwać każdego, kto ci podpadł, pod dowolnie wymyślonym zarzutem. A jeśli wpadłeś w prawdziwe tarapaty, proponowali ci usługi Theodore'a Levy'ego – genialnego adwokata karnisty. Kate spróbowała sił w kilku zespołach i w końcu wylądowała w karnym. Miała dryg do tej roboty. I to było widać. W zespole Levy'ego było kilkunastu prawników, jednak prowadząc swoje sprawy, lubił współpracować z młodymi stażystami, żeby bardziej doświadczeni adwokaci mogli się skupić na własnych klientach.

Kate zauważyła, że szczególnie blisko lubił współpracować z młodymi stażystkami.

Scott przeszedł do zespołu karnego miesiąc temu i z miejsca

przypadł szefowi do gustu. Stał się jego ulubieńcem. Kate mogła to potwierdzić. Była z Levym tylko na jednym lunchu, a pracowała z nim dwa miesiące dłużej od Scotta, który zdążył się już spotkać z szefem na lunchu cztery razy. Levy był niski i podobny do ropuchy, a Scott wysoki, chudy jak szczapa, z kośćmi policzkowymi, którymi można by posiekać mięso na hamburgery. Jego niebieskie oczy wydawały się podświetlone z tyłu, jakby miał w oczodołach małe żarówki.

Zabrał jej taksówkę i Kate obiecała sobie, że przy pierwszej okazji zmyje mu za to głowę.

Kierowca ubiera w ogóle się nie odzywał. Wkrótce wysiadła z jego forda i poszła do komisariatu.

W środku panował istny cyrk.

Zobaczyła tłum adwokatów z czołowych manhattańskich kancelarii, którzy najwyraźniej na coś czekali.

Na aluminiowej ławce po drugiej stronie sali siedzieli pogrążeni w rozmowie Levy i Scott. Żeby do nich dotrzeć, musiała przecisnąć się obok kilkunastu prawników tłoczących się w małej poczekalni. Niektórych znała z telewizji. Innych z zamieszczanych w miesięczniku Rady Adwokackiej ogłoszeń i zdjęć. To ich fotografowano zawsze na organizowanych przez Radę imprezach. Wszyscy byli grubo po czterdziestce. Wszyscy byli biali i bogaci. Wszyscy byli mężczyznami.

I wszyscy ją ignorowali.

– Przepraszam – powtarzała, próbując przecisnąć się przez tłum.

Niektórzy prawnicy ze sobą rozmawiali. Głównie o golfie. Bogaci biali adwokaci uwielbiają golfa. Inni klócili się, jeszcze inni rozmawiali przez telefon. Żaden nawet na nią nie spojrział. Z opuszczoną głową parła do przodu, mrucząc cicho „przepraszam”. Pośrodku poczekalni ktoś przesunął dłonią po jej plecach, a chwilę później poczuła, jak ktoś inny

szczypie ją najpierw w udo, a potem w pośladek.

Zakasłała, zrobiła krok w bok i odepchnęła stojącego przed nią siwego adwokata o wiele mocniej, niż się tego spodziewał. Za sobą usłyszała wybuch śmiechu. Paru samców i ich prywatny żarcik. Polegający na tym, że jeden z nich uszczypnął ją w tyłek. Ani Levy, ani Scott nawet nie podnieśli wzroku. Kate obróciła się, czując, że się czerwieni. Siwowłosy adwokat zdążył już wrócić na miejsce i nie sposób było odgadnąć, który z chamów za jej plecami to zrobił. Twarz i szyja płonęły jej z zażenowania. Wiedziała, że jeśli się poskarży, wywoła scenę.

– Gdzieś ty się podziewała, Katie? – usłyszała za sobą piskliwy głos Levy’ego. – Scott dotarł tu dziesięć minut temu.

Zamknęła oczy. Otworzyła je. Próbowała się zresetować. To była zła noc. Nie chciała wybuchnąć na oczach Levy’ego. Powiedziałałby jej pewnie, żeby wzięła się w garść i nie robiła mu wstydu. Opuściła więc. Musiała się skoncentrować na rozmowie z szefem. Tylko dwie osoby używały wobec niej zdrobnienia Katie. Jedną z nich był ojciec, drugą Levy. Uwielbiała, kiedy zwracał się tak do niej ojciec, i wkurzało ją, gdy robił to jej przełożony.

Cofnęła się o krok, stanęła przed Levym i podała mu egzemplarz umowy.

– To dla nas ważna sprawa – oświadczył z poważną miną.
– Dla całej firmy. Musimy przejąć tę klientkę. Chcę, żebyś była na sto procent skoncentrowana.

Kate pokiwała głową.

– Jestem skoncentrowana – odparła. – Co to za sprawa?

Levy’emu opadła szczęką i pozostawał w tym stanie przez kilka sekund. Wyglądało to tak, jakby czekał na przelatującą muchę i w odpowiednim momencie chciał wysunąć swój gadzi język, żeby ją złapać.

– Nie żyje były burmistrz, Frank Avellino. Został

zamordowany w swojej sypialni. Dźgnięty... Ile razy, Scott?

– Pięćdziesiąt trzy.

– Dźgnięty pięćdziesiąt trzy razy, moja droga. A my będziemy reprezentować jego starszą córkę. Obie siostry aresztowano na miejscu zbrodni i każda obwinia drugą o zabicie ojca. Jedna kłamie, a my mamy za zadanie udowodnić, że nie jest to nasza klientka. Rozumiesz?

Kate zignorowała protekcyjny ton, który słyszała w głosie Levy'ego. „Moja droga” nie było przejawem uprzejmości. Przywykła do prostactwa, z którym musiała się borykać, ale słysząc „moja droga” albo „młoda damo”, nadal zgrzytała zębami. Opanowała gniew, bo była to chwila, na którą czekała, odkąd zaczęła pracę w firmie. Radziła sobie bez problemu z obleśnymi facetami w barach i z seksizmem na ulicy, ale w przypadku mężczyzn, od których zależała jej kariera, wyglądało to inaczej. Wiedziała, że to nie w porządku i tak być nie powinno, ale uznała, że lepiej będzie stać ze spuszczoną głową i milczeć. Na razie. Levy i inni mieli nad nią władzę. Gdyby poskarżyła się na złe traktowanie, w mgnieniu oka wyleciałaby z roboty i jej kariera dobiegłaby końca, zanim jeszcze naprawdę się zaczęła.

Miesiącami pisała pisma procesowe, wymieniała uściski rąk z klientami i serwowała kanapki na firmowych przyjęciach. Teraz została przydzielona do sprawy. Sprawy dużego kalibru, głośnego zabójstwa. Czując dreszcz ekscytacji, wygładziła kostium, oblizła spierzchnięte wargi i odchrząknęła. Chciała być gotowa. Czowała się gotowa.

– Rozumiem – powiedziała.

– Co ty masz na nogach? – zapytał Levy, mierząc ją krytycznym spojrzeniem. – To są buty do biegania?

Otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, ale nie było jej dane tego zrobić.

– Twoja kolej, Levy! – dobiegł głos zza otwartych stalowych drzwi.

– Jesteśmy gotowi – mruknął Levy, po czym wstał i podciągnął spodnie, które często opadały mu z wystającego brzucha. Nie miało znaczenia, czy nosił pasek, czy szelki, i tak co chwila musiał je podciągać.

Kate zobaczyła, że przez stalowe drzwi wychodzi grupka prawników. Najwyraźniej wracali z rozmowy z potencjalną klientką. Mieli spuszczone głowy i robili wrażenie znużonych. Zrozumiała, że to jej szef poprowadzi tę sprawę. To była jego mocna strona: niezależnie od tego, kto był klientem, Levy potrafił zdobyć jego zaufanie. Był piarową maszyną z dyplomem prawa. Poprowadzą tę sprawę, a Kate będzie brała w tym udział od początku do końca. Powstrzymała uśmiech, który cisnął się jej na usta z nerwów i podniecenia.

– Okej, wchodzimy – rzucił Levy.

Scott skinął jej głową. Kate odwzajemniła ten gest. We troje ruszyli w stronę stalowych drzwi. I nagle zobaczyła przed sobą grubą teczkę. Wyciągnęła ręce i teczka wylądowała na nich z głuchym łupnięciem. Stała jak wryta.

– Są tutaj rzeczy, których klientka i nowojorska policja nie powinni zobaczyć – oznajmił Levy. – Włóż to do sejfu w bagażniku mojego samochodu. Stoi na parkingu. Żółty mercedes.

Podał jej kluczyki. Kate wzięła je i przełknęła ślinę. Miała wrażenie, że łyka kaleczące gardło ostre kamyki.

– Nie zajmie nam to dużo czasu. Czekaając na nas, będziesz miała czas się zastanowić, dlaczego tak bardzo się spóźniłaś. Kiedy skończymy, mogę cię odwiedzić do domu – powiedział Levy, po czym on i Scott podeszli do otwartych stalowych drzwi.

Kate nadal stała w miejscu.

– Nie przejmuj się, kotku. Masz ważniejsze zadanie. Będziesz pilnować samochodu pana Levy’ego – powiedział ktoś za nią. Jeden z adwokatów z konkurencyjnej firmy.

To wystarczyło, by w całej poczekalni rozległ się tubalny śmiech.

Zaczerwieniła się aż po czubki uszu i obeszała grupę prawników. Nie miała odwagi ponownie przedzierać się przez jej środek. Kiedy przypomniała sobie ostatnie słowa Levy’ego, poczuła, jak przechodzą ją ciarki.

Zaproponował, że kiedy skończą, odwiezie ją do domu. To oznaczało, że po raz kolejny będzie się do niej w obleśny sposób przystawiał.

Pchnęła mocno drzwi i wyszła na ulicę.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w formie **e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).